

Okiem Puzona

Potrzeba pamięci

Serce roście patrząc na... Wawel! – tak można by sparafrazować słynne słowa Jana z Czarnolasu, bo też ostatnimi czasy święte wzgórze Polaków pięknie w oczach. Nie wiem, na ile to zasługa pieniędzy płynących z zasobów Społecznego Komitetu Odnowy Zabytków Krakowa, kiesy Kościoła, czy też funduszy europejskich, ale pewnie bez właściwych ludzi na właściwych miejscach Zamek Królewski i Katedra nie wyglądałyby tak, jak wyglądają. Czapki więc z głów, po staropolsku, mości panowie, przed ich gospodarzami, bo warci są tego obaj pospołu: prof. dr Jan Ostrowski i ks. dr infułat Janusz Bielański. Ci dwaj wspaniali ludzie, biorąc w swe ręce schedę niełatwą, bo dla Polaków najdroższą, a w dodatku po całym szeregu wybitnych poprzedników, konsekwentnie, bez jakiegokolwiek rozgłosu prowadzą Wawel niechybnie do stanu, w jakim ostatnio był pewnie za Zygmunta Augusta, gdy twórca Unii Lubelskiej zażywał jakże krótkich, choć najniezwyklejszych chwil szczęścia z ukochaną Barbarą Radziwiłłówną... To były wtedy bodaj ostatki wawelskiej świetności, bo gdy Zygmunt III Waza najpierw zaproszył był ogień w komnatach skrzydła północnego (co prawda świetnie przez winowajcę odbudowanego!), by rychło potem wynieść się do Warszawy, Wawelowi pozostały jedynie wspomnienia i – od czasu do czasu – wielkie uroczystości z racji koronacji lub pogrzebów królewskich. Najgorsze były jednak dwa „potopy” szwedzkie – ten „sławny” z połowy XVII wieku, i ten „zapomniany” z początków następnego stulecia (aż dziw bierze, dlaczegośmy tak o tych przewinach Szwedów zapomnieli i dziś taką sympatią do tych naszych niszczycieli pałamy!). A że mimo tytularnej stołeczności Krakowa każdy król w Warszawie rezydował i urzędował, w syrenim grodzie rozdzielano budżet i jego ewentualne nadwyżki, więc dla Krakowa mało co zostawało (skąd my to znamy?). Trudno się zatem dziwić, iż Wawel podupadł tak dalece, że gdy król Stanisław August Poniatowski w roku 1783 wybierał się był do Kaniowa na spotkanie z carycą Katarzyną i po raz pierwszy w czasie swojego panowania (jak się okazało – także ostatni) zamierzał odwiedzić stolicę Piastów i Jagiellonów, jego nadworny architekt Dominik Merlini musiał naprędce urządzić w zamku wawelskim kil-

ka pokoi, by godnie podjąć Króla Jegomości, bo to co zastał na Wawelu, nie licowało zgoła z królewskim majestatem...

Aliści najgorsze dopiero miało nadejść, bo pod koniec XVIII wieku Rzeczpospolita dokonała żywota, rozdarła przez swoich sąsiadów – trzy czarne orły (czytaj: sępy), które przez następnych sto lat robiły wszystko, by z królestwa Orła Białego nic zgoła nie zostało... Wawel dostał się najpierw w ręce Prusaków, którzy nie tylko zniszczyli zamek królewski, ale zagrabili skarbiec koronny, a z nim wszystkie regalia nasze, składane tu od czasów Chrobrego. Wszystko wskazuje na to, że je zniszczyli, bo dotąd ich nie odnaleziono... Po Prusakach wkroczyli na Wawel ich pobratymcy – Austriacy, by w zamku królów naszych urządzić sobie koszary. Zaborcze wojsko nie miało sentymentów wobec murów, w których je umieszczono. Opisy Wawelu z tego okresu, a także późniejsze raporty konserwatorskie pierwszych jego odnowicieli zranić mogą każde polskie serce: niszczone polichromie, kominki i stropy, przerabiano okna i otwory drzwiowe, bezceremonialnie obchodząc się z finezyjną kamieniarką gotycko-renesansową, jakiej nigdzie poza Polską, a osobliwie Krakowem, uświadczyc nie można. W komnatach, gdzie niegdyś potężni królowie polscy decydowali o losach połowy niemal Europy, austriaccy żołdacy nie tylko ustawiali swe prycze, ale hodowali też świnię (to również powinniśmy pamiętać kulturalnemu narodowi Straussów!). Gdy paskudny nasz klimat zaczął dawać się Austriakom we znaki, a i kondycja renesansowych krużganków była niepewna, obudowali je, by choć w ten sposób zachować więcej ciepła w zamienionym na koszary zamku. Ten przypadkowy fakt można zaborcom zapisać na ich dobro, bo dzięki temu koronkowe krużganki wawelskie, bodaj najpiękniejsze w świecie, szczęśliwie ocalały i po ich odsłonięciu i odnowieniu są doskonałym dowodem, jak znakomita kultura włoska została twórczo przekształcona na piastowsko-jagiellońską ziemi. Ale na austriackim sumieniu są jeszcze inne zniszczenia: zburzenie dwóch średniowiecznych kościołów św. św. Michała i Jerzego, średniowiecznych murów obronnych, dworu i baszty Tęczyńskich (zwanego „Rabsztynem”) oraz co najmniej kilku budynków o podob-

nym jeszcze rodowodzie użytkowanych przez katedralne duchowieństwo, wzniesienie paskudnych budynków koszarowych (z których do dziś ostał się budynek nr 9), wreszcie fatalne przeróbki zabytkowych domów kapitulnych i otoczenie wawelskiego wzgórza ciężkimi, zupełnie bez sensu wprowadzonymi fortyfikacjami. O stanie, w jakim Austriacy pozostawili Wawel w końcu XIX wieku, świadczyć mogą wspomnienia Stanisława Wyspiańskiego, który będąc dzieckiem biegał na wawelskie wzgórze, a stanąwszy w jednej z komnat parterowych zamku i spojrzawszy w górę widział... obłoki po niebie wędrujące, bo nie było już stropów ani dachu.

Jeśli dzisiaj nie mamy z tego powodu do byłych c.k. zaborców szczególnego „nabożeństwa”, to tylko dlatego, że z czasem coraz bardziej operetkowe cesarstwo Habsburgów zrobiło coś, co trudno doprawdy zrozumieć: oto gdy w roku 1880 Sejm Krajowy Galicji podjął uchwałę o ofiarowaniu cesarzowi zamku wawelskiego na jego rezydencję, wyraziło na to swoją c.k. zgodę. Trzeba przyznać, że w tej mierze galicyjski parlament wyprzedził samego Sienkiewicza, który dopiero kilka lat później opisał, jak to pan Zagłoba darowywał Inflanty królowi szwedzkiemu (a swoją drogą polscy parlamentarzyści to niezłe zgrywusy, nie od dziś mają poczucie humoru!). Franciszek Józef I, człowiek akuraty aż do bólu, ale tak samo i niezbyt lotny, przyjął ową „darowiznę” całkiem serio, stawiając warunek wybudowania przez Polaków nowych koszar w Krakowie, a jednocześnie zarządzając odpowiednim służbom dworskim przekazanie stosownej dotacji na potrzeby remontu i adaptacji zamku wawelskiego. Trudno uwierzyć, by mimo krzepkiego zdrowia, jakim się cieszył (zmarł dopiero w roku 1916, po 68 latach panowania!), Najjaśniejszy Pan przypuszczał, że kiedykolwiek choćby zanocuje w zamku polskich królów...

Wkrótce, po pierwszych ustaleniach dokonanych na zlecenie cesarskiego Urzędu Ochmistrzowskiego w Wiedniu, znany architekt Tomasz Pryliński wykonał w ciągu zaledwie 16 miesięcy wzorową wręcz inwentaryzację zamku królewskiego, opracowując jednocześnie pierwszy projekt jego rewaloryzacji. I chociaż nie wszystkie propozycje Prylińskiego były do przyjęcia, jemu oddać należy tę zasługę, że odnalazł w nasypach przeszło 500 relikwów renesansowej kamieniarki usuniętej przez zaborców, które wprawiono w zamkowe mury, przy okazji przywracając otworom okiennym i drzwiowym ich właściwe wymiary i proporcje. Równoległe do prac prowadzonych przez Prylińskiego, pod patronatem kardynała Albina Dunajewskiego, a później kardynała Jana Puzyny działał „Komitet Obywatelski Restauracji Katedry na Wawelu” grupujący szereg osobistości tamtego czasu, jak choćby hrabiowie Kazimierz Badeni i Artur Potocki, profesorowie Stanisław Tarnowski, Józef Łepkowski, Władysław Łuszczkiewicz, Marian Sokołowski czy Jan Matejko. Pracami, którym ów

Komitet patronował, kierował prof. Sławomir Odrzywolski. Dzięki Odrzywolskiemu w ciągu kilku lat odnowiono katedrę wawelską, a zwłaszcza kaplicę Zygmuntowską.

Tymczasem w roku 1905, gdy wojsko mogło opuścić już Wawel, by przenieść się do nowo wzniesionych koszar przy ul. Rajskiej w Krakowie, niezwłocznie przystąpiono do porządkowania i rewaloryzacji siedziby polskich władców, powołując do życia „Kierownictwo Restauracji Zamku Królewskiego na Wawelu”, pierwszą firmę konserwatorską na ziemiach polskich, na czele której stanął znakomity architekt, prof. Zygmunt Hendel. Opierając się częściowo na projektach przygotowanych przez Prylińskiego oraz ikonografii Wawelu Hendel stworzył koncepcję rewaloryzacji zamku królewskiego, przywracającej mu zasadniczo kształt z I połowy XVII wieku. Było w niej także i sporo błędów, czy raczej swoistej fantazji, np. w traktowaniu hełmów zamkowych wież, generalnie jednak zarówno dalsze projekty, jak i ich realizacja poszły zasadniczo w kierunkach przez projektanta wytyczonych. Z uznaniem należy też odnotować, że pracę Hendla wysoko oceniła c.k. Centralna Komisja Sztuki i Zabytków Historycznych w Wiedniu w maju 1908 roku, zalecając wszelako daleko idącą ostrożność przy rekonstrukcji zatraconych elementów budowli. Dzięki temu prace mogły się zacząć i z biegiem lat obejmować coraz to nowe fragmenty wawelskich zabudowań. W tych czasach, kiedy decydowały się losy zamku królewskiego, powstały też – co należy choćby odnotować – fantastyczne projekty kreślone ręką wizjonerów, jak choćby idea „polskiego Akropolis” Stanisława Wyspiańskiego i Władysława Ekielskiego, „korony Chrobrego” Ludwika Stasiaka czy niezwyklej grupy rzeźbiarskiej „Pochodu królów na Wawel” Wacława Szymanowskiego, nie mówiąc już o późniejszych nieco, dzwacznych, acz oryginalnych pomysłach Stanisława Szukalskiego. Ich realizacja byłaby przedsięwzięciem szalonym, niszczącym klimat i wiele wartości Wawelu, ale wszystkie świadczyły przecie o gorącej dla tego miejsca temperaturze polskich serc.

Tymczasem, w roku 1916 pojawiła się na Wawelu niezwykła osobowość, której działalność na przestrzeni ponad 20 kolejnych lat nadała pracom konserwatorskim nie tylko nowy impuls, ale też i specyficzny charakter – charakter, który przetrwał po dziś dzień. Prof. Adolf Szyszko-Bohusz, bo o nim tu mowa, już w 1914 roku opracował jedną z czterech swoich koncepcji odnowienia Wawelu, które z lepszym czy gorszym skutkiem do końca II Rzeczypospolitej realizował. Ten właśnie wybitny architekt-konserwator, który miał pod swoją pieczę także warszawski zamek królewski, doprowadził do odnowienia wnętrza skrzydeł północnego i wschodniego Wawelu, urządzając w nich muzeum, znane potem jako Państwowe Zbiory Sztuki na Wawelu. To on sprawił, że po kilkuset latach (!) na królewskie komnaty

powróciły zygmunto-wskie arras, jedyna autentyczna ozdoba wawelska z czasów jagiellońskich. Szyszko-Bohusz odkrył też rotundę św. św. Feliksa i Adaukta w podziemiach dawnych kuchni królewskich, jedną z najstarszych świątyń chrześcijańskich w Polsce. Po latach działalność Profesora spotkała się z licznymi zarzutami i głosami krytyki, ale czyż dokonania konserwatorskie można zmierzyć czy zważyć w matematyczny zgoła sposób? A przecie to ów inkryminowany sprawił, że siedziba królów naszych odzyskała swój majestat i blask po niemal trzech wiekach poniżenia, weszła do świadomości Europejczyków jako jedna z ośmiu najcenniejszych rezydencji monarszych świata. Tym bardziej więc bolesnym było nikczemne oskarżenie tuż po wojnie Szyszko-Bohusza o... jego kolaborację z Niemcami przez znanych, skądinąd wybitnych przedstawicieli sztuki konserwatorskiej z Warszawy. Dla człowieka, który całe swoje życie z pasją poświęcił Wawelowi, a w czasie okupacji wyniósł stąd przed Niemcami chorągwie krzyżackie zdobyte pod Grunwaldem, takie oskarżenie mogło zakończyć się jeno tym, czym się skończyło – przedwczesną śmiercią... Jeszcze jeden to przykład polskiej deklinacji mającej niespotykany w innych językach przypadek gramatyczny: wygryźnik – kogo, czym?

Potem, gdy po wojennych zmaganiach tyle się w ojczyźnie zmieniło i wciąż zmieniało, na Wawel trafili na krótko profesorowie (kolejno) Bohdan Gerquin, znakomity znawca zamków polskich i repatriant ze Lwowa, Witold Minkiewicz. Ten ostatni opracował i zrealizował projekt rewaloryzacji dawnych kanonii okalających wawelski dziedziniec zewnętrzny od strony miasta i zakola Wisły, które niegdyś przez Austriaków zostały paskudnie zniekształcone. Wielką zasługą Minkiewicza, wobec jego równoległej podówczas pracy przy tworzeniu Politechniki w Gdańsku, było to, że zatrudnił na Wawelu jako swojego zastępcę architekta Alfreda Majewskiego. Ten ostatni nie przypuszczał zapewne, że nie tylko spędzi tutaj następnych lat blisko pięćdziesiąt, ale że kontynuując dzieło odnowy zamku królewskiego, „przy okazji” odbuduje też szereg najpiękniejszych zamków małopolskich, nazywając je tyleż pięknie, co i słusznie „dziećmi Wawelu”. Oprócz niezwykłych wizji i umiejętności konserwatorskich i architektonicznych Majewski miał jeszcze niepospolite zdolności organizacyjne, a także umiejętność dostrzegania nawet w skrajnie niekorzystnych okolicznościach możliwości sensownego działania. Nic zatem dziwnego, że nie tylko przekształcił niewielkie Kierownictwo Odnowienia Zamku Królewskiego na Wawelu w prężną firmę konserwatorsko-badawczą, ale też, gdy odchodził na emeryturę w roku 1983, miał na swoim koncie imponującą listę dokonań. Odnowienie zachodniego skrzydła zamku królewskiego na Wawelu, urządzenie unikalnego rezerwatu ar-

cheologicznego „Wawel zaginiony”, szereg prac badawczych i studialnych oraz realizacji konserwatorskich na wzgórzu wawelskim, a także wielką koncepcję – makietę, przywracającą wygląd Wawelu z końca XVIII wieku, wizję, która wciąż czeka na realizację. Jeśli dodać do tego rewaloryzację zamków w Wiśniczu, Baranowie Sandomierskim, Pieskowej Skale, Suchej Beskidzkiej, Niedzicy, Krasiczynie, urządzenie warszawskiego Belwederu czy odnowienie Collegium Maius, a także pracę naukową na krakowskiej Politechnice (gdzie m.in. prof. Majewski był dziekanem Wydziału Architektury), to zachodzi podejrzenie, że oprócz talentów Opatrzność dała Profesorowi dobę liczącą 48 godzin, bo dla normalnego człowieka dzieło wawelskiego Alfreda Wielkiego to rzecz niepojęta zgoła...

Gdy przeminęły obchody trzech wieków odsieczy wiedeńskiej, kolejne reformy niszczyły wspaniałe dzieło kilku pokoleń, jakim było Kierownictwo Odnowienia Zamku Królewskiego na Wawelu. Nie pomogły nazwiska (nawet niektóre wcale wybitne!) następnych dyrektorów, ani kolejne reorganizacje włączające KOZKnW w struktury Pracowni Konserwacji Zabytków.

Doczekaliśmy za to dziwnego paradoksu: u progu odzyskania niepodległości w roku 1989 nie było już KOZKnW powołanego w okresie zaborów dla ratowania tego co nam najdroższe...

Ale – może czasy, jakie nadeszły, nie wymagały już istnienia specjalnej instytucji dla Wawelu, skoro tak dzielnie poczyna sobie prof. Ostrowski?

Jeśli jednakowoż wolno mi coś podpowiedzieć, to jeno to tylko, że dzieje odnowienia Wawelu to także część historii owego świętego wzgórza, część naszej historii. Wypatrując królewskich śladów na Wawelu powinniśmy pamiętać, czy raczej móc zapoznać się z tymi wszystkimi Prylińskimi, Odrzywolskimi, Hendlami, Szyszko-Bohuszami, Majewskimi oraz ich współpracownikami, którym zawdzięczamy to, że Wawel jest, że pięknieje i że zawsze będzie dla nas najpiękniejszy.

Pośród licznych dokonań, prof. Ostrowski i jego współpracownicy przeprowadzili renowację Baszty Sandomierskiej, która do niedawna znajdowała się jeszcze w takim stanie, w jakim pozostawiła ją Austriacy. Dzięki temu budowla ta odzyskała, kiedyś usunięte, strzelnicze wykusze z czasów Kazimierza Jagiellończyka i klatkę schodową, która umożliwia dostęp do jej wnętrza. Jeśli nie ma jeszcze koncepcji, co w tych wnętrzach będziemy mogli kiedyś oglądać, podpowiadam: trzeba – może tu właśnie – urządzić wystawę stałą poświęconą historii odbudowy Wawelu. To wielkie dzieło, z którego możemy być dumni. To dzieło ma już 100 lat, a następne stulecie wielkiego odnowienia Wawelu już się rozpoczęło dokładnie w połowie roku 2005... Trzeba o tym pamiętać!